

Lewocka Katarzyna
Kasper Buczarek.

KACPER
OWCZAREK

DRAMMA ORYGINALNA.



Warszawa

1832.

KACPER
OWCZAREK

Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.

3663

KACPER OWCZAREK

DRAMMA ORYGINALNA

WE TRZECH AKTACH PROZĄ.

Z WYDARZENIA PRAWDZIWEGO.

Napisana w roku 1830.

NA DOCHOD UBOGICH.



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

WARSZAWA.

1832.



5560

HR. SKARBK, opowiadał razu jednego w mojej przytomności następujące wydarzenie:

„Od czasu jak założono szkołkę w Domu Kary i Poprawy dla młodych winowajców, jeden z nich Kacper, owczarek z professyi, skazany na dożywotne więzienie za podpalanie, mocno zajął moje uwagę swoim smutkiem, pilnością i ciągle dobrém sprawowaniem się. Badając, jaka mogła być przyczyna która go tak młodego do téj zbrodni przywiodła? (miał bowiem zaledwie lat 16, i już od dwóch lat siedział w więzieniu), gdy na powtarzane zapytania moje zawsze milczał, jeden z jego kolegów zawołał: *On się Panu nie przyzna, ale przed nami to nie raz gorszko płacze, bo to nie on podpalał, ale wój jego.* „Ja, ja sam przerwał Kacper, niech mu pan nie wierzy.” „Uderzony temi słowy, po długim naleganiu wymogłem na Kacprze wyznanie, że istotnie był niewinnym. Matka jego, chcąc ochronić swego brata i rozumiejąc, że małoletniemu jój synowi wina ta ujdzie bezkarnie, kazała mu przysiąc, że uczyni co rozkaże, a to było, by występek wuja przyjął na siebie. Na moje proźby sprawa ta została wznowiona, i mam nadzieję, że niewinność Kacpra jawnie uznana zostanie, gdyż już rzecz całą odesłano do innego sądu dla ponowienia indagacyi.”

Wydarzenie to tak żywe na mnie sprawiło wrażenie, iż nieczekając końca sprawy, ułożyłam z tej treści tę małą dramkę, która nie — bawnie miała być grana.

Ważne i nieszczęsne wypadki zaszły w końcu r. 1830, wyzuły z méj pamięci i cnotliwego Kacpra i moje błahą robotę. Przypomniał mi je téj wiosny list następujący :

„Zajęła kiedyś panią sprawa jednego z wychowalców mojej wieziennéj szkoły, raczyłaś ją nawet obrać za przedmiot dziełka scenicznego, sądzę przeto, że zajmującą będzie rzeczą dla Pani poznać przedmiot czynu który zajął jój pióro. Oddawca niniejszego jest ów Kacper owczarek, który dla ocalenia matki i jój brata przyjął, jego winę na siebie i był skazany za podpalenie na dożywotne więzienie. Pani wiesz resztę. Niewinność tego prostego, lecz rzadkiej stałości człowieka została uznana, a on wraca dziś do towarzystwa prawnie uwolniony od zarzutu winy, której nigdy nie popełnił. Jeżelibyś Pani mogła mu znaleźć służbę lub zatrudnienie, dopomogłabyś nie tylko jemu, lecz i mnie który zaciągnąłem względem niego dług opieki należący się niewinnie posądzonemu.

(podpisano) FR. HR. SKARBK.

Warszawa 2 Marca 1832. r.

Napełniona uczuciem jakie zwykle wznieca widok wnioślej cnoty, tém miléj przywitałam Kacpra, iż w nim widziałam przedmiot który chwil kilka żywo zajmował moje wyobrażnię. Sprawa i historia jego wzięły nie zupełnie taki obrot, jaki im Drama moja nadaje. Żyje bowiem jeszcze nieszczęsna

matka jego, a wój o zbrodnią przekonany i uwięziony, odnosi już zasłużoną karę.

To mi z płaczem i żalem Kacper opowiedział. Dawnożeś wolny? zapytałam. — 16 Grudnia roku zeszłego zdjęto ze mnie kajdany. Po cóżeś tu powrócić? — Przyniosłem świadectwa mojej niewinności, a myślę tu zostać, bo mi ciężki żal serce ściska w taintych stronach gdzie mój wój, gdzie moja matka..... Rozumiem, że i tu znajdę sposób do życia. Przyszedłem piechoto, a że w Warszawie nie znam żadnego miejsca prócz *Domu Kary i Poprawy*, tam się udałem aby się dowiedzieć, czy jest tu jeszcze i gdzie mieszka ten pan litościwy co się tak nami zajmował w szkole młodych winowajców? Dopytałem się do niego, a on, niewiem dla czego, mnie przysłał do Pani. — Ale ja wiem, odpowiedziałam z uśmiechem pochlebionej miłości własnej autorskiej.

Po spólniej naradzie z Panem Skarbkiem, obmyśliliśmy *Ogrodnictwo* dla naszego protegowanego, i od miesiąca Marca, zostaje on na nauce w tutajszym ogrodzie Botanicznym.

Uważając tę Drammę za własność Kacpra, ogarnęła mnie chęć aby z niej odniósł jaką taką korzyść. Przeznaczam tedy jedną połowę jej dochodu, na nowe gospodarstwo jego, gdy sobie jaką *Basie* upatrzy, a drugą, w jego imieniu rozrządzam (i pewną jestem, że mi tego za złe nie weźmie) na wsparcie ubogich jak on sierot.

Cel ten usprawiedliwi w części moje śmiałość, w ogłaszaniu tak drobnój i niedokładnej pracy.

O S O B Y.

DZIEDZIC.
 KARBOWY.
 BASIA jego córka.
 KŁOS podupadły gospodarz.
 KACPER jego siostrzeniec.
 NIEWOSAD gospodarz.
 MAŁGORZATA stara i uboga
 wieśniaczka.
 4^{ci} WARTOWNIKÓW.
 WÓJT GMINY.
 SĘDZIA KRYMINALNY.
 DYREKTOR }
 NADZORCA } WIEZIENIA.
 DOZORCA }

NAUCZYCIEL }
 ODZWIERNY } WIEZIENIA.
 DWÓCH ŻANDARMÓW.
 DWÓCH PAROBKÓW.
 12^{ty} Młodych winowaj-
 ców, z których 6^{ciu} mil-
 czących a 6^{ciu} mówiących
 to jest:
 KACPER.
 PAWEŁ.
 GRZEGORZ.
 MARCIN.
 PIOTR.
 ANTONI.

*Dwa pierwsze Akty dzieją się na wsi, trzeci w Warsza-
 wie w Domu Kary i Poprawy.*

AKT I.

SCENA I.

Izba wiejskiej chaty.

KARBOWY i KŁOS *wchodzą razem i zasiadają przy stole na ławie.*

KARBOWY *(zdejmując czapkę.)*

Usiądźcie Panie kumie. Niech tam sobie nasza młodzież wyskakuje, dobrze że choć w Niedzielę zapomni trochę o biédzie! A my starzy lepiej tutaj przy szklance miodu spokojnie pogadajmy. Ale cóż tak ponuro siedzicie? Napijcie się. Na frasunek dobry trunek!

KŁOS.

Wam przynajmniej stać na trunek, a mnie już nie długo i na kęs chleba nie starczy.

KARBOWY.

Ej co tam zawsze się troszczycie. Bóg pocziwych nie opuści.

KŁOS.

Pocziwych!...

KARBOWY.

No, już cić nie z waszój winy przyszło na was ubóstwo, a kiedy człek nie ma sobie nic do wyrzucenia, to i cierpieć łatwiej, myśląc że taka wola Pana Boga.

KŁOS *(z żywością.)*

Taka wola złego dziedzica mówcie! żeby nie on, Kłos z gospodarzy, gospodarz, nie tułałby się na stare lata po

cudzych komornych, miałby swój dom, grunt, chudobę, ale podobalo się niesprawiedliwemu Panu, tam gdzie moja chatka stała, postawić jakąś figurę dla widoku z swego pałacu. Zrzucono moją chałupę; zasiane zbożem pole, skopano na zasadzenie drzew i kwiatów. Gdym się upominał o moje krzywdę, rzucił mi Pan kilkaset złotych i groźnie zawołał: płacę ci więcej niż to warto. — Oj! do śmierci nie zapomnę mu tego!

KARBOWY.

Ze Pan nasz nie najlepszy, to nie nowina. Ale tak Bogiem a prawdą mówiąc, to mój kumie moglibyście się byli za te pieniądze, na nowym gruncie zabudować.

KŁOS.

Tak się to wam zdaje! Ot poszedł grosz za groszem, wszystko się zmarnowało i przyszedłem do ubóstwa.

KARBOWY.

Zapewne że to żal wielki rzucać siedzibę gdzie się urodziło, wychowało, na której ojcowie ojców naszych pracowali, żyli i pomarli, ale cóż robić! trzeba znosić cierpliwie! Nad wami też wszyscy się litowali. Ależ i Pan nasz niedługo się cieszył tém co wam odebrał, widoczna nad nim za to kara Pana Boga. Wszak zaledwie skończył budować i sadzić na waszym gruncie, okropny pożar wszystko jednej nocy pochłoniął, wiele mu szkody narobił, bo ogień dosięgnął szpichlerzy i zniszczył nie mało pszenicy i żyta. Aż tu znowu wkrótce, pamiętacie, może wpół roku, spaliły mu się obory, stodoły i cały prawie folwark. Tak, tak kumie, to my w ten czas wszyscy między sobą mówili, że go może Bóg za was nawidza. Ale dajcież już pokój tym turbacyom, cóż wam pomoże iż tak straszno patrzycie i pięście ściskacie. Oto lepiej mówmy o czém weselszém. Nie długo wasz siostrzak Kacper siedemnaście, a moja Basia szesnaście lat skończą. Trzeba będzie pomyśleć o weselisku,

a jak się oni pobiorą, to wy kumie przy nas mieszkać będziecie, i bieda wam już nie dokuczy.

K Ł O S.

Cobym dawniej ja do siebie przygarnął Kacpra z żoną, to teraz i ja i on do cudzych iść musimy. Oj dobrze, dobrze, że nieboszczka matka jego, a moja siostra nie doczekała pa-trzeć na to nieszczęście i zostawiła mi chłopaka swęgo umie-rając; spodziewała się, że Pan nasz będzie przecież miał wzgląd na sierotę, którego ojciec zabił się, zleciawszy z rusztowania murując pałac pański, a którego matka w krótkce ze zgryzo-ty umarła. Zaprowadziłem Kacpra do dworu, chłopczyna wielką miał ochotę uczyć się czytać i pisać, ba, już trochę umiał, bo go nieboszczyk ojciec sam uczył, prosiłem Pana że-by mu dał sposób wyuczyć się lepiej, że chłopak chętny i że może kiedyś wyiść na dobrego majstra mularza, jak był oj-ciec jego. Co mu po nauce odpowiedział pan dziedzic, mularzy mam dosyć, niech tymczasem posługuje w kuchni, zobaczę potem co z niego zrobię. Otóż zrobił! Po kilku la-tach wałęsania się przy dworze, wypchnął go na pastucha, do swoich owiec hiszpańskich, bo powiada: chłopak pilny i wierny będzie mi je dobrze chodował. Oj! nie dosyć, nie dosyć na niego jeszcze te dwa pożary!

KARBOWY.

Nie grzeszcie panie Kumie, nie grzeszcie. Jeszcze dzisiaj słyszeliście jak to na kazaniu Xiądz Proboszcz nas nauczał, że za złe trzeba dobrém płacić i że nawet nieprzyjaciółom naszym nie godzi się źle życzyć. Kacper jest pasterzem, cóż z tego kiedy go Basia serdecznie kocha. Chłopak żwawy, pracowity bo i przy doglądaniu trzody nie próżnuje, nau-czył się śliczne koszyki wyplatać od koszykarza co tu z War-szawy przyjeżdżał. Basia jak teraz, nosi je do miasteczka na sprzedaż tak i potem będzie, i obadwa razem starzeć się będziemy przy naszych dzieciach.

K Ł O S

Poczekajcie no wprzód czy pan Dziejcz na to pozwoli!

KARBOWY.

A toż znowu co jemu do tego?

K Ł O S.

Co do tego! Oto to: że wszyscy już uważają, jak on wszędzie gdzie Basię spotka spoziera za nią, zagaduje do niej, i do was tu nierazko zachodzi, niby to wypytować się swego Karbowego o kopy i snopy, ale dawniej nim Basię poznał to was o to do siebie wołał, a sam tu nie przychodził.

KARBOWY.

Już boście się widzę uwzięli wszystko brać za złe. A choćbydź mu Basia i wpadła w oko, niedziwota! hoża, gładka! Ale cóż z tego, on Pan a ona wieśniaczka, przecież Kacprowi przeszkodzić nie może.

K Ł O S.

Daj Boże aby tak było jak mówicie!

KARBOWY.

Tak, tak, będzie przy Boskiej pomocy. Uważaliście jak moja Baśka smutno siedziała w kacie karczmy i z żadnym chłopakiem tańcować nie chciała? Wiem ja dobrze dla czego! bo Kacper jeszcze trzody z pola niespedził. Niech no wróci, to dopiero zaczną się skoki i płasy. Ale cóż tak zawsze dumacie i dumacie? ja gadam żeby was trochę rozruszać, a wy tylko w dół patrzycie i wargi gryzicie. To wróćmy do karczmy. Albo chodźmy wywołać Basi żeby nam co przekąsić na wieczerek dała? Ale otóż i ona sama powraca.

SCENA II.

CIŻ I BASIA.

BASIA.

Czy Kacper jeszcze nie wrócił?

KARBOWY.

Aha! dla tego to Basia tak prętko z tańców wróciła. No, no, już nie długo sama chodzić i wracać będziesz, niechno po żniwach to i na twojem weselu wyskoczymy. A tym czasem podajno nam co z szafki. Masz tam widzę ser i szynkę, to się zje smaczno z dobrym sąsiadem.

KŁOS.

Dziękuję wam, niechce mi się jeść. Muszę już odejść.... nie do swego, ale znowu do cudzego kąta!

KARBOWY.

Co znowu! Dziś przecież święto, możecie się trochę zabawić.

KŁOS.

Tak, żeby jutro przed świtem usłyszyć głos Włudacza wołającego do pracy, a za spóźnienie się, uczuć kij Ekonoma na grzbiecie (*odchodząc, głosem przytłumionym złością*). Ale poczekajcie! będziecie wy wszyscy jutro co innego mieli do roboty!

SCENA III.

KARBOWY I BASIA.

KARBOWY.

Biedny on biedny, to prawda; wiele mu Pan krzywdy uczynił; ale też zawzięty! niech mu Bóg nie pamięta.

BASIA (*odkłada część jadła na osobną miskę i całuje ojca w rękę*).

Pozwolicie dobry Ojczy, że to dla Kacpra zostawię. Ale co się znaczy, że go dotąd niema, już dobrze zmierzschać zaczyna.

KARBOWY.

Strach ma wielkie oczy, gdzie tam zmierzscha, nie turbuj się. Co mu się stać mogło? nie prędko mógł zebrać rozpierszchłą trzodę i nic więciej.

SCENA IV.

Ciż sami i NIEWOSAD.

NIEWOSAD.

Niech będzie pochwalony! A'gdzie Kacper? (*poglądając z uśmiechem na Basię*) wiem, że go tutaj najpewniej zastać i przychodzę aby mu jak najprędzej podziękować, że mego chłopaka uratował.

BASIA.

Uratował! O! on zawsze do dobrego skory. Mówcież co zrobił?

NIEWOSAD.

Mówię wam, że gdyby nie Kacper, jużbym się nie cieszył moim Michasiem. Wysłała go matka aby kozy nasze spędził z paszy, bo sama nie miała czasu, rozpedził się chłopczyzna za uciekającym kozłem; i o wielki Boże! wpadł w rzekę płynącą u dołu. Kacper pilnujący trzody na dolinie rzuca się za nim i szczęśliwie z wody wydobywa.....

BASIA (*przerywając*).

Przeczuwałam, że znowu go jaki dobry uczynek zatrzymał.

KARBOWY.

Jemu to nie pierwszyna życie swoje narazić za drugiego! Pamiętacie jakto w czasie drugiego pożaru, rzucił się w płomienie, aby wydobyć zgrzybiałego żebraka o którym wszyscy zapomnieli, że chory na uproszonej słomie w stodole nocuje.

BASIA.

O mój Boże! któżby mógł zapomnieć, jak cały osmalony i ostatnich sił dobywający, by staruszka w bezpiecznym miejscu złożyć, padł potem jakby bez duszy.

KARBOWY.

Bo też chłopak radził się serca, nie siły swojej! Miał w tedy zaledwie lat szesnaście!

NIEWOSAD.

A staraż Małgorzata, która codzień go błogosławi. Musicie wiedzieć co zrobił dla niej.

KARBOWY i BASIA (*razem*).

Nie, nie wiemy coś takiego?

NIEWOSAD.

Cały jej dobytek i majątek składał się z jednej krowy. Otóż tej zimy wilcy zjadły jej krowę. Co to było płaczu, lamentu! Ale też teraz jaka radość jak się cieszy! Kacper zbierał pieniądze za swoje koszyki, chciałby był zaraz wynagrodzić stratę biednej Wdowy, ale nie tak prętko mógł się na to zdobyć, bo jak wiecie część zarobku, oddaje zawsze Wujowi swemu. Aż oto z jarmarku na Świętą Gerwazy i Protazy w Płocku, przyprowadził jej krowę z cielęciem. Ona też już przednich serków narobiła na wesele Kacpra z Basią.

KARBOWY.

Patrzcie co to za chłopiec! A ja myślałem, że on te pieniądze na nowe gospodarstwo składa. Ale lepiej, lepiej ich użył.

Mojój Basi i tak na niczém zbywać nie będzie (*całując ją w czolo*), dziękuję Ci żeś mi takiego zięcia wybrała.

NIEWOSAD.

Ale gdzież on się bawi do téj pory? Michaś już dawno wrócił do domu, opowiedział mi swoją przygodę z płaczem i z strachem i ja tu pochwili pobiegłem, a Kacpra widzę jeszcze niema.

BASIA.

Czy tylko Michaś wam mówił, że obadwa zdrowo z rzeki się wydobyli? Czy widział go już na brzegu? Ale.... czy mi się zdaje (*ślucha*) o to jego, jego fujarkę słyszę!

(*słychać z daleka granie na fujarce. Basia wybiega skwapliwie, za nią Niewosad*).

S C E N A V.

KARBOWY (*sam*).

Niech go tam oni pierwój powitają, ja choć ostatni szczerze go do serca przycisnę. Ależ już zmrok zapada, w izbie ciemno się robi a Basia zapomniała rozświecić (*skrzese ogień i zapala kaganiec wiszący przy kominie*).

S C E N A VI.

KARBOWY, BASIA, NIEWOSAD i KACPER (*z fujarką zawieszoną na wstążce*).

KARBOWY.

Niechże cię ucałuję mój ty przysły synu.

KACPER (*patrząc z czulością na Basię*).

Dziękuję wam za to imie.

NIEWOSAD.

Panie karbowy! Jako przysły ojciec Kacpra, nauczcież go aby mną nie gardził.

KACPER (*biorąc go za rękę*).:

Jak możecie tak mówić, tak źle sobie tłumaczyć moje od-mówienie ?

NIEWOSAD.

Ależ bo i ty Kacprusiu nie myśl sobie, że ja chcę ci zapła-cić za to coś zrobił dla mnie, oto tylko chcę ci pokazać, że dziecko moje droższe mi jest nad wszystko. No, no, nie dzi-wacz i przyjmij dobrém sercem, tę odrobinę na nowe go-spodarstwo, (*podaje mu woreczek skórzany z pieniędzmi*).

KARBOWY.

Znam ja go znam i wiem, że go do tego niezmusicie. Daj-cie mu już pokój, uściskajcie się jeszcze raz i dość o tém.

(*Kacper rzuca się serdecznie w objęcie Niewosada*).

BASIA.

Ale dla czegoż tak się spóźniłeś? Michaś już dawno po-wrócił.

KACPER.

Szukałem wszędzie dwóch najpiękniejszych jagniąt które mi zginęły, podczas gdy do Michasia odbiegł. Powróci-łem wreszcie bo nigdzie ich znaleźć nie mogłem.

BASIA.

Ach biedny Kacprusiu! Co to będzie jak Pan się dowie!

KACPER.

Pójdę sam do niego i uprzedzę Ekonoma który pewnie po-spieszy do dworu z tą dobrą nowiną. Pierwszy też raz zda-rza mi się taką uczynić szkodę.

NIEWOSAD.

A ja stanę za świadka, że dla tego aby syna mego urato-wać odeszłeś od owiec.

KACPER.

Nasz też Dziadzio będzie na to uważał!

NIEWOŚAD (*uderzając się w czoło*).

Czegóż ja tu czekam! Wiem co zrobię! Pan z drugiej wsi wyprzedaje swoje owczarnię! Bądźcie spokojni (*ściska za rękę Wojtusia, wychodzi spiesźnie i we drzwiach spotyka wchodzącego Dziadziusa*).

S C E N A VII.

KARBOWY, BASIA, KACPER i DZIADZIO.

(*Na przybycie Dziadziusa stają wszyscy w postawie uszanowania, Basia zbliża się do stołu i sprzęta. Kacper chce odejść, Basia mu znak daje aby został*).

DZIADZIO.

Przychodzę mój Karbowy dowiedzieć się ile wczoraj zwiozłeś żyta, ile go wymłócono? Dobry wieczór pięknej Basi. Cóż to Basia dzisiaj nie na tańcach? Przechodząc koło karczmy zajrzałem do tańczących i uważałem, że cię tam nie było.

KARBOWY.

Czy Wielmożny Pan rozkaże jutro przyjść do siebie z karbami? Ale u mnie wszystko zawsze gotowe to i zaraz mogę się obliczyć.

DZIADZIO.

Nie, nie, nie pilnego, wolnym czasem, a teraz czy wiecie Panie Karbowy, że szkoda, iż tak córkę waszą poniewieracie. Gdybyście chcieli oddałbym ją moim kosztem na naukę robót, haftów do Warszawy. Basia musi być zręczną, pojętną wnetby została bardzo użyteczną.

KARBOWY.

Onaż i tu nie marnuje czasu, gdyby nie ona, któżby pomyślał o wszystkich potrzebach i wygodach starego ojca. Już to

Wielmożny Panie, nieodsunę od siebie jedynej pociechy i podpory mojej starości.

DZIEDZIC (*zbiłżając się ku Basi*).

Może Basia namówi Ojca, aby uważał na polepszenie losu swego dziecka.

BASIA.

Nigdzie mi lepiej być nie może jak przy Ojcu i ani na chwilę go nieodstąpię.

DZIEDZIC.

A czemużes to nie ubrała się w stażkę com ci dał wczoraj.

BASIA.

Oddałam ją Kacprowi do fujarki.

(*Przez całą tę rozmowę Kacper okazuje gwałtowne wzruszenie, odwiązuje fujarkę, a wstażkę Basi oddaje.*

DZIEDZIC.

Co to za zuchwalec? A to widzę mój owczarz. Co on tu robi?

KACPER.

Jestem w domu mego przyszełego Teścia. Basia jest moja narzeczoną.

DZIEDZIC.

Próżniaku zuchwały. W owczarni nie tu twoje miejsce, już dawno powinienes spoczywać przy owcach aby je do dnia w pole wyprowadzić. Po cóż tu jeszcze stoisz? Wychodź natychmiast.

KACPER.

Muszę wprzód oznajmić panu, iż pomimo mojej baczności, zginęło mi dwoje jagniąt, z tych najlepszych gatunków. Szukałem ich do późna i dla tego o tej porze tu jestem.

DZIEDZIC (*w największym gniewie*).

Niegodziwce? Jak śmiesz stawiać mi się w oczy? Precz mi z tą zaraz, a jutro każę cię odesłać do innych dóbr

moich, gdzie pod rozkazami surowszego Ekonoma, nauczysz się być dbalszym i pilniejszym.

KARBOWY.

Zeby wielmożny Pan pozwolił, tu nie daleko można ślicznych merynosów nabyć, ja bym od siebie zastąpił tę stratę.

DZIEDZIC.

Nie idzie mi o te dwoje jagniąt, ale nie mogę już dłużej trzymać tego leniucha niedbałego.

BASIA.

O mój Boże! Panie, łaskawy Panie.... Pan nie wie... że to nie z jego winy....

KACPER (*przerywając*).

Nie warto,... Nie pomoże,... przestań luba Basiu, uspokój się, miej nadzieję w Bogu.

Dziedzic porywa się ku niemu. Kacper spiesźnie wychodzi dając Basi znak pożegnania ręką.

SCENA VIII.

CIŻ SAMI (*prócz Kacpra*).

(Karbowy i Basia przystępują do Dziedzica z błagalną postawą).

DZIEDZIC (*nakładając kapelusz na głowę*).

Ani mi słowa za nim! Zuchwalec! Jutro go już tu nie będzie (*odchodzi*).

(Basia ociera oczy, Karbowy potrząsa głową. Zasłona zapada).

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT II.

SCENA I.

Ta sama Izba co w pierwszym Akcie.

BASIA (*sama przy kominku, grzeje piwo w garnku*).

Już nie długo świtać będzie. Ojciec dzisiaj równo ze dniem wstać musi, trzeba żeby miał się czém posilić. Ach całą noc nie spałam! Co to będzie z Kacprem! Pan tak zagniewany! (*słychać lekkie stukanie w okno*).

SCENA II.

BASIA i KACPER (*za oknem*).

KACPER.

Basiu, Basiu, to ja.

BASIA (*biegnie do okna i otwiera je*).

Ach to ty Kacprze! Trochęś mię nastraszył. Cóż cię tak rano przebudziło?

KACPER.

Co mię przebudziło! Ja przez całą noc oka niezmrużyłem, a jak tylko u ciebie ogień zabłysnął przybiegam pogadać z tobą, już może ostatni raz.

BASIA.

O ja o tém myśleć nie mogę! Może pan tylko tak na pierwszym razie ci zagroził, może go będzie można przeprosić, ubłagać.

KACPER.

Dobra, niewinna Basiu! Niedomyślasz się, iż on rad, że ma powód wysłania mię z miejsca w którym ty jesteś.

Jeszcze wczoraj jak tylko z tąd wyszedł, przysłał Ekono-
ma który już innego na mojem miejscu osadził, a mnie tyl-
ko przenocować w budzie przy owcach pozwolił. Nie, nie
luba Basiu, nie miej nadziei na teraz, pewny jestem, że
dziś jeszcze, daleko będę od ciebie!

BASIA (z płaczem).

Ach ja nieszczęśliwa!

KACPER.

Uspokój się. Bóg nas nieopuści. A byleś ty o mnie nie
zapomniała, ja cię zawsze i wszędzie kochać będę, i choć
może nie tak prętko, to się jednak pobierzemy. Chciałbym
nim mnie z tąd odesłać, upleść jeszcze dla ciebie koszyk!
Zapał mi kawalek łuczywa bo jeszcze ciemno, pójdę po-
zbierać w mojej budce rozrzucone łożyny i łyczka.

BASIA.

Ale wrócisz tu zaraz. Ojciec nie długo wstanie. Tutaj,
przy nas będziesz wypłatał ostatni koszyk dla mnie. (*ociera
oczy i podaje Kacprowi zapalone łuczywo*).

KACPER (*odbiera je*).

Za chwilę powrócę. (*chce odejść*).

BASIA.

Zaczekaj, zaczekaj, przykryj garnkiem to łuczywo, bo
jest trochę wiatru, a tak się boję jakiego broń Boże przy-
padku! (*przystępuje ku oknu z garnkiem i raptem się
odsuwa*). Czy słyszysz?

KACPER.

Nie, cóż takiego?

BASIA.

Słyszałam czyjeś stępanie w tę stronę. Choć niema nic
złego, że tu gadamy, jednakże niechciałabym żeby cię
widziano przy naszym domu o téj porze.

KACPER.

Tak jeszcze ciemno, że nic rozeznąć nie można, a potem otobie Basiu nic złego nikt nie pomyśli (*oświeca sobie łuczywem*), to widzę mój wój, ale poszedł już do folwarku, o znowu tu idzie.... Ale nie, pobiegł za wrota. Cóż tak i tu i tam się kręci, i czego tak wcześniej w pole wyszedł? Nieborak! bieda, niedola spokoju mu niedają! cóżbym dał żeby mu choć na starość kawałek chleba zabezpieczyć.

BASIA.

Choć on jest twojm Wujem, choć tak bardzo nieszczęśliwy, jednak ja niewiem dla czego serce moje nie może przylgnąć do niego. Taki zawsze ponury, groźny, tak zawsze przeklina swego pana. Zkrzywdził go pan to prawda, ależ tak długo mu to pamiętać!

KACPER.

Niechwałę ja mu téj zawziętości, jednakże kiedy coraz większa nędza codzien mu przypomina, że z winy naszego dziedzica kochanego cierpi, to bolesno! Ach bolesno! sam to teraz czuję, gdy także z jego woli mam ciebie porzucić!.... Co się tycze twego wstępu do mego wuja, radbym żebyś inaczej czuła. On po śmierci mego ojca, przygarnął do siebie i mnie i matkę moję. Niezapomnę nigdy jak ta umierając przycisnęła głowę moję do siebie, abym lepiej mógł słyszeć, gdyż głos jój bardzo już był cichy i rzekła: „Moje dziecię jedyne, zostawiam cię samego na świecie, cała moja nadzieja w Bogu i w braciui moim który od dzieciństwa był moim opiekunem, bo i ja za młodu rodziców straciłam; on mię wychował, on za mąż wydał, on teraz w nieszczęściu oboje nas ratuje, on i ciebie, nie opuści. Pamiętajże szanować go, jak drugiego ojca i prosz Boga aby ci kiedyś pozwolił wywdzięczyć się Wujowi.” (*z wruszeniem*). Ja téż zawsze Boga proszę, aby mi dał sposobność wypłacić mu się za matkę i za siebie.

BASIA.

To już będę się starała lubić twego wuja, a tém bardziej teraz gdy ciebie tu nie będzie. Zgasło ci łuczywo, daj co ci je znowu zapalę, (*zapala i podaje mu w garnku*). Idźże już; idź po łoziny i wracaj prędzej do nas.

(*Kacper odchodzi*).

S C E N A III.

(*Basia narządza śniadanie dla ojca, który po chwili wychodzi z komory obok będącej*).

KARBOWY.

Z kimżeś to rozmawiała moja pociecho? (*całuje ją w czoło, ona ojca w rękę*).

BASIA.

Z Kacprem mój ojciec, przyszedł do mnie po łuczywo, bo jeszcze ciemno, a chce pozbierać swoje łoziny i łyżka i przyjdzie tu upleść dla mnie koszyk nim go z tąd wyśła. Spodziewałam się, że może pan się udobrucha i pozwoli mu tu zostać; ale Kacper powiada, że jeszcze wczoraj innego już na jego miejsce dano owcarza, więc dziś pewnie nas opuści!

KARBOWY.

Moje biedne dziecię! I my też tu nie długo będziemy. Nie dla jednej przyczyny muszę z tąd się oddalić.... Na Święty Michał kończy się rok mojej służby. Pan nie może mnie przymusić abym dłużej u niego zostawał.... Czy słyszysz Basiu (*słychać powolne uderzenie dzwona*). Czy to już na pacierze? (*słychać grzechotkę*). O wielki Boże! to znowu pożar!

BASIA (*biegnie do okna*).

Ach cały folwark oświecony! Sterty się palą! (*wybiegają oboje*).

(Dekoracya się zmienia. Widać po bokach zabudowania gospodarskie, w głębi o podał pałace się sterty zboża. Słychać dzwony, grzechotkę, turkot ciągnionych sikawek, krzyk Ekonoma, hałas biegnących włościan z rozmaitemi narzędziami do gaszenia pożaru, który stopniami zaczyna się zmniejszać, a w końcu pierwszej sceny zupełnie ustaje, tylko gdzie niegdzie dym się wznosi, (dnienie).

SCENA IV.

(Podwórze folwarczne, w środku którego znajduje się studnia i gołębnik, pod którym darniowa ławeczka).

WÓJT GMINY i 2th WARTOWNIKÓW.

WÓJT GMINY *(obracając się za kulisy)*.

Niechże go tam dobrze pilnują, ja tymczasem panu dam wiedzieć. To to pewnie i tamte dwa pożary jego były sprawką.

WARTOWNIK 1.

Czy on, czy nie on, to jużci widoczna rzecz, że ktoś musiał podpalić, inaczej być nie mogło. Przecież nas czterech całą noc chodzi, pilnujemy, w każdy kąt zaglądamy, i nigdzie z nikąd ogień wziąć się nie mógł tylko istno podłożony. A kiedy teraz złapaliśmy go jakby na uczynku, bo z ogniem w ręku, to nie kto inny tylko on i tamte dwa razy, i teraz podpalił.

WARTOWNIK 2.

A kiedyż bo on się nie przyznaje, i Boga bierze za świadka że niewinny.

WÓJT.

Tak, tak, alboż on głupi przyznawać się do tego! wie on dobrze co go za to czeka, czém to pachnie. Ale niech-no ja użyję moich sposobów to nam się ptaszek nie wywinie. Czekaście tu na mnie póki od pana nie wrócę *(odchodzi)*.



S C E N A V.

DWAJ WARTOWNICY.

PIRWSZY.

Ugaszono już ogień, płomień nie bucha, ale co tu szkody, co tu szkody! Widać że ogień pod kilka stert był podłożony. Ze my go też nie widzieli jak chodził z łuczywem!

DRUGI.

Bo też ja i niekoniecznie myślę że to on podpalił. Kiedyżby miał czas w tylu miejscach z takim światłem chodzić i zapalać? My tylko cośmy odeszli bo już dniało, nikogośmy nie widzieli, i złapaliśmy go nie z tej strony z której pożar się pokazał. Ot niczyja winna (*ciszéj*) tylko kara Boska nad naszym złym panem.

PIRWSZY.

Jużć Pan Bóg z nieba ognia nie spuścił, ktoś podpalił to ani myśleć inaczej. Mówicie że nie z tej strony? Wielka rzecz bo już z tamtąd zemknął, złapaliśmy go gdy powracał.

S C E N A VI.

CIŻ SAMI I BASIA (*wbiega załamując ręce*).

BASIA.

Co za okropność! Co za pozór nieszczęśliwy. Ale któż temu da wiarę, kto może go posądzać! Może się memu ojcu przyśłyszało. (*spozstrzega Wartowników*). Mówcież, kogoście widzieli podkładającego ogień?

DRUGI.

Jużć niewidzieliśmy jak ogień podkładał, bobyśmy tego niedopuszcili, ale złapaliśmy Kacpra jak wracał do owczarni z łuczywem zapaloném.

PIRWSZY.

I garnkiem go przykrywał, aby nikt nie widział.

BASIA.

Oh! leczę natychmiast do dworu, wszystko samemu Panu opowiem, że to po łożyny, że odemnie... (*chce odejść spótyka Wójta i zawraca się*), spróbuję w przód Wójta wybadać.

S C E N A VII.

CIŻ SAMI I WÓJT.

WÓJT.

Oznajmiłem Panu o tém wydarzeniu; i Pan nie potrzebuje innego dowodu występku Kacpra, tém bardziej, że wczoraj stawil się zuchwale samemu Panu, za to że go za niedbalstwo z tutéjszj owczarni odprawić kazał (*spogląda złośliwie na Basię*), a wiemy wszyscy co go do téj wsi przywiązuje. Więc przyprowadzić go tutaj natychmiast, rozprawię się ja sam z jegomością. (*Wartownicy odchodzą*).

S C E N A VIII.

WÓJT I BASIA.

BASIA.

Panie Wójcie! Na dzieci wasze was zaklinam, wysłuchajcie mię, on niewinny.

WÓJT.

Nie masz nic nowego mi do powiedzenia, wiem że od ciebie wziął łuczywo, że ci mówił iż na poświęcenie sobie w budce dla roboty jakichśtam koszyków, ale znamy się na tych wybiegach, a w ręście może i prawda, że od ciebie wziął łuczywo, ale czy myślisz że miał ci się zwierzyć co z niēm zrobi?

BASIA.

Ja przysięgnę, że on niewinny!

WÓJT.

Wiemy już, wiemy co się wczoraj wieczór między nim a Panem działo, wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi, a zazdrość łatwo do zemsty prowadzi.

BASIA (*przerażona i zamyślona*).

Wielki Boże!..... (z żywością) ale nie, nie, nigdy temu nieuwierzę!

S C E N A IX.

WÓJT, BASIA i KACPER (*między dwoma wartownikami*).BASIA (*biegnie ku niemu*).

O mój drogi! Wszak prawda to nie ty, nie ty?

KACPER (*spokojnie*).

Czy i ty mogłaś myśleć?.....

BASIA (*przerywając*).

O nie, ani na chwilę nie posądzało cię serce moje, ale uważ co tu pozorów przeciw tobie. Mówże co na swą obronę!

KACPER.

Mówilem wszystko co prawda, niechcą mi wierzyć, cóż mam więcej mówić! Bogu moje sprawę oddaję.

WÓJT.

Co my tu potrzebujemy jego mowy! Nie tu, to w mieście przed sądem się przyzna.

S C E N A X.

CIŻ SAMI i KARBOWY (*z dwoma innemi wartownikami*).KARBOWY (*do Wójta*).

Oto są świadki jako widzieli wcale innego jakiegoś człowieka kręcącego się okolo folwarku, i na którego mają podejrzenie, że on ogień podłożył.

BASIA (*przyskakuje do ojca i chwytą go za rękę*).

O mój ojcie!

WÓJT.

Cóż takiego? mówcie, tylko prawdę, bez ogródki.

WARTOWNIK 3.

Tak panie Wójcie; Bartek i Jan z téj strony folwarku wartowali dzisiejszój nocy, a ja i Mateusz tam od pola, otóż widzieliśmy jak właśnie tamtędy przechodził jakiś człowiek, którego pociemku nie mogliśmy poznać, a który potém spieszenie wyszedł za wrota.

WÓJT.

A czemużeście go nie zatrzymali i niedowiedzieli się kto, i po co?

WARTOWNIK 1.

Ja chciałem iść za nim, ale zdalo mi się, że poznaje Kłosa, a on nieborak zawsze prawie tula się po nocach, i bieda bardzo rano w pole go wypędza. Ba! i przypomniałem sobie, że wczoraj w karczmie powiadał mi, że dziś do dnia wyjdzie do Częstochowój, więc dałem mu pokój, i nie przeszkadzałem jego wędrownce. Aż tu nie długo może we trzy pacierze, właśnie z téj strony po którój on był chodził, sterty palić się zaczęły.

WÓJT.

I na niego mogą być wielkie podejrzenia. On zawsze chowa w sercu żal do naszego Pana za swoją mizerną chałupę, za którą mu pan dwa razy więcej zapłacił jak warta. A gdyby to on?

KARBOWY (*do siebie*).

Wczoraj właśnie gdy odemnie wychodził..... Tak, to nie kto inny! (*głośno*) Panie Wójcie, trzeba wysłać za nim w pogoń.....

(*Kacper na wymienienie Wuję swego przez Wartownika, zostaje jakby bolesną myślą uderzony, upuszcza głowę*

na piersi, pogrążony w dumaniach stoi jak wryty. Raptem przerywa Karbowego).

KACPER.

Niema potrzeby szukać winnego.... Nie będę się dłużej zapierał, gdy na innego pada podejrzenie.... Ja podpaliłem.

BASIA.

Co mówisz? To być nie może!

KARBOWY.

Co słyszę Wielki Boże!

} razem.

KACPER.

Tak jest.... wyznaję... miłość, zazdrość,..... natchnęły mnie zemstą (*zakrywa sobie oczy obiema dłońmi*).

BASIA.

Chcesz Wuję ochronić, ale myśl, że siebie, że mnie gubisz. Przez litość na demną! (*staje przed nim z załamane-
mi rękami*).

KARBOWY (*biorąc go za rękę*).

Przez wzgląd na moje stare lata, mów prawdę.

KACPER.

Nie powiększajcie moich cierpień. Nie godzien jestem waszego przywiązania.

WÓJT.

To rzecz oczywista że on nie kto inny! Na co tu kogo innego szukać? choćby się zapierał, złapano go na uczynku! ruszyło go przecież sumienie, ale to kary jego niezmniejszy: (*Do dwóch Wartowników później przybyłych*). Możecie odéjść i powiedzieć Soltysowi aby przygotował furę z parą końmi, (*Do dwóch pierwszych*), a ty Bartku i Janie coście sami schwyłali winowajcę z dowodem jego występku, pojedziecie ze mną i z tym paniczem do Sądu,

będziecie służyć za świadków. Taki mam rozkaz od pana. Pilnujcie go tu póki nie wróce. Muszę na prędce ułożyć krótki wykład téj sprawy (*odchodzi*).

S C E N A XI.

CIŻ SAMI (*prócz Wójta*).

BASIA.

On winny! on sam to wyznaje! Nieuwierzę temu jednak do ostatniej godziny życia mego! Wiem, zgaduję jego powody. Ojcie kochany biegnijmy do pana. Nie może być aby nie wstrzymał swego rozkazu gdy mu prawdę przełożymy, (*bierze ojca za rękę i oddala się*).

KACPER (*wołając za nią*).

Basiu! Basiu! nie czyni tego, zaklinam cię!

BASIA (*odchodząc*).

Nie słucham cię, kiedy ty niedbasz o mnie, sama siebie ratować muszę.

S C E N A XII.

2^{ch} WARTOWNIKÓW i KACPER.

KACPER (*usiada na ławeczce pod gołębnikiem, założone ma ręce i głowę spuszczoną*).

O Matko moja najdroższa! Przyjmij tę ofiarę.

WARTOWNIK 2^{gi} DO 1^{szego}.

Taki młody a już tak występny. No jabym się po nim tego niespodziewał! Jak go też osądzą ciekawym?

WARTOWNIK 1.

Może na śmierć. Trzy razy podpalać to nie żarty! Bo pewny jestem, że i tamte dwa razy on podpalał.

WARTOWNIK 2.

Jużci o tém nie możecie świadczyć, co innego teraz, wielkie na niego są pozory i sam się przyznaje, choć ja zawsze myślę, że ten Kłos,...

KACPER (*zrywa się z swego siedzenia*).

Mój pocziwy Janie, na co chcesz inaczej myśleć, jak ja sam wyznaję? Czy rozumiesz, iż niewiem co mnie czeka? i czy chciałbym za innego cierpieć? Uważ to sobie dobrze i proszę cię ani myśl, ani wspominaj daremnie o moim Wuju, tak tutaj jak i przed sądem.

S C E N A XIII.

CIŻ SAMI i WÓJT (*zdwoma parobkami z powrozami*).

WÓJT (*chowając papiery za nadrze*).

Wszystko już gotowe, fura zaprzężona (*do parobków*). No, dzieci, związać mu w tył ręce, jedziemy.

(*Parobcy wypełniają rozkaz Wójta*).

S C E N A XIV.

CIŻ SAMI, NIEWOSAD i MAŁGORZATA (*wbiegają razem*).

NIEWOSAD.

Co widzę! więc to prawda!

MAŁGORZATA.

Oczom moim nie wierzę. Kacper, mój dobroczyńca, to być nie może! Panie Wójcie jak możecie myśleć?

WÓJT.

Jak mogę myśleć! Właśnie to na domysł takie rzeczy się robią! Pytajcie go samego, wyznał przecież, niezaprze się i teraz.

NIEWOSAD.

Co? Więc to ty podpaliłeś?

KACPER:

Winny jestem!

MAŁGORZATA.

Cóż do ciebie przystąpiło! Ty taki dobry pocziwy!

NIEWOSAD.

Gdybyś był nie dziwaczyl i zaraz poszedł kupić dwoje jagniąt za te pieniądze com ci dawał tak szczerem sercem, byłbyś na siebie Pana nieobrazil i nie byłoby tego całego nieszczęścia. Przyprowadziłciś ja te jagnięta, są już w owczarni, ale cóż z tego kiedy wszystko zapóźno!

KACPER.

Przyjmuje teraz wasz dar i bardzo wam za niego dziękuje. Kiedy nie będę już w stanie sam Panu tej szkody powrócić, miło mi, że wyście mnie zastąpili.

WÓJT.

Patrzajcie go! jaki mi cnotliwy! Niechce pańskiej straty na dwóch jagniętach, a podpalać sterty to u niego nie nieznaczy!

NIEWOSAD.

Panie Wójcie dobrodzieju, jeżeli prawda, że on to zrobił to przez wzgląd na jego młodość, nie oddawajcie go do sądu. Jesteście w wielkiej łasce u naszego Pana, możecie to u niego wyrobić, że go tu każe ukarać jak młodego, a do sądu nie odeśle.

MAŁGORZATA (*schylając się do nóg Wójta*).

Zróbcie to, zróbcie.

WÓJT.

To ani odemnie, ani od Pana nie zależy, mamy prawa na to, a potem na co chcecie bronić tego zbrodniarza?

Ze młody! temci bardziej winny i trzeba go wziąć w dobre kluby. Coby to było z niego na starość, kiedy tak pięknie za młodu zaczyna.

MAŁGORZATA.

Za nim cała wieś nasza płakać będzie!

NIEWOSAD.

On do téj pory taki był dobry, poczciwy, pracowity!

WÓJT.

Nie wszystko złoto co się świeci! Dosyć już tych ceregielów, ruszajmy *(do wartowników i parobków)*. Prowadźcie go za mną.

KACPER.

Bywaj zdrów panie Gospodarzu, kłaniajcie się Michaśowi odemnie.... A wy matko Małgorzato nie płaczcie, nie żałujcie mnie..... Basię, Basię moję tu pocieszajcie *(daje głowę znak pożegnania)*.

SCENA XV.

Niewosad zaturbowany, Małgorzata głośno płacze, Basia wbiega z przeciwnéj strony którą wyprowadzono Kacpra, za nią jęć ojciec.

BASIA.

O nielitościwy! ani nas chciał słuchać! Gdzież on jest, niech go jeszcze raz zobaczę! Mówcież gdzie Kacper?

MAŁGORZATA *(jedną ręką obciera oczy fartuchem, drugą pokazuje drogę którą Kacper wyszedł)*.

BASIA *(chce lecieć w tę stronę)*.

NIEWOSAD *(wstrzymując ją)*.

Daremnie biedna Basiu, już go powieźli do sądu.

BASIA.

O Boże! Boże!

MAŁGORZATA (*biorąc ją w swe objęcie*).

Biedna dziewczyna! (*placząc obydwie*).

KARBOWY (*zbliża się do córki i obejmuje jej głowę*).

Moje dziecię nieszczęśliwe! Trzeba nam jak najprędzej z tych miejsc uchodzić — Ale gdzie się podziejemy. Gdzie spokój, gdzie już szczęście znajdziemy. W Boskiej opiece nadzieja!

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

AKT III.

SCENA I.

Więzienie — Duża izba z oknami zakratowanemi. Z jednej strony drzwi główne wchodowe ze sztabami żelaznemi, z drugiej inne drzwi prowadzące wewnątrz więzienia, w głębi trzecie drzwi z napisem Szkoła Domu Kary i Poprawy. Na środku izby stół długi zarzucony skórą i narzędziami szewstwa, obstawiony dwónasto stolkami, na boku mały stolik okryty suknem, przy nim krzesło.

DYREKTOR WIEZIENIA, NADZORCA.

DYREKTOR (*siedząc przy stoliku przegląda papiery, trochę o podal od niego Nadzorca z innemi papierami (sam do siebie).*

Nie tak jeszcze idzie jakbym rad, jakby iść powinno! Jednakże z wytrwałością i pracą trafiemy do pożądanego celu, (*do Nadzorcy*). Pokaż mi teraz WóPan zdania o postępkach w nauce i moralności młodych winowajców.

NADZORCA (*podając zeszyt, drapie się w głowę i nisko się kłania*).

Oto są zapisane przez Nauczyciela i Xiędza.... ale... żeby to JW. Pan raczył mnie posłuchać.... Tylko ja wiem, że moja rada nie będzie przyjęta!

DYREKTOR.

Dla czego nie, jeżeli dobra, mów, o cóż idzie.

NADZORCA.

Człowiek już nie młody jak JW. Pan widzi, ma się też i doświadczenie, bo to już dwudziesty piąty rok jak jestem Nadzorcą po różnych naszych więzieniach.

DYREKTOR.

Wiem o wszystkich zasługach WćPana i podalem cię już do emerytury, bo czas abyś sobie wypoczął, a i ja do moich widoków innego potrzebuję, ale przystępój do rzeczy, czegoż jeszcze żadasz?

NADZORCA.

O! to wcale nie o mnie idzie, tylko z przeproszeniem JW. Pana, jabym to chciał bez obrazy Pańskiej powiedzieć, że te wszystkie odmiany teraz zaprowadzone po więzieniach nic nie warte! Ta szkółka, te warsztaty, te oddziały jednych więźniów od drugich, to, to do niczego dobrego nie prowadzi. Dawniej tego nie bywało, a dobrze było. Człowiek przecież nie dzisiejszy, żeby już zjadł na dozorze więzień!

DYREKTOR (z uśmiechem).

Jakto mój kochany, nie nie widzisz lepszego w teraźniejszym stanie rzeczy?

NADZORCA.

Oto jeżeli JW. Pan pozwoli szczerze prawdę powiedzieć, to nie tylko do lepszego, ale owszem to wszystko do gorszego doprowadza. A to znowu na co sobie głowę suszyć, żeby tym lajdakom było tu dobrze! Więzienie przecież na to jest więzieniem, aby było więzieniem.

DYREKTOR.

Nie możesz tych słów przynajmniej do tego więzienia zastosować, gdyż to jest dom *Poprawy*.

NADZORCA.

Ale też i *Kary*! To przecież nie nagrody, a jak JW. Pan zaczniesz i zaczniesz ulepszać, udoskonalać, to sam JW. Pan zobaczy co się winowajców namnoży. Nie długo lepiej im tu będzie jak na świecie. Co ma ciężko na życie pracować, to nie jeden będzie wołał spłatać jaką złodziejską

sprawkę umyślnie, aby się tu dostać (*kłaniając się do kolan Dyrektora*). JW. Pan niech wybaczy mojej śmiałości, ale człowiek niema w tym żadnego własnego interessu, tylko z gorliwości tak się mówi.

DYREKTOR.

Nie zadziwia mię wcale ta mowa, owszem dziwilbym się gdyby (*wskazując ręką na niego*), człowiek inaczej myślał. Ale powiedz mi szczerze, wszak z tych wszystkich niedobrych odmian tu zaprowadzonych, najgorsza jest ta, że odebrano Nadzorcom dostawę żywności dla więźniów? Wszak prawda? To niegodziwe zaprowadzenie?

NADZORCA.

Co prawda to nie grzech! Czyż nie lepiej bywało kiedy to człowiek szukał, starał się upatrywać porę w której jakiego produktu, najtaniej dostać można było, kiedy człowiek uważał co najmniej kosztuje, a najwięcej pożywia? To przecież przez to JW. Panie, nie mało się..... (*podchwytyjąc się*) nie mało oszczędziło się grosza publicznego, bo jak można najtaniej żywić się tych wisielców, a teraz.... (*kiwa ręką*).

DYREKTOR.

Bardzo żałuję, że tak mądre przełożenia nie trafiają do mego przekonania (*chce czytać papiery*).

NADZORCA (*z uniżonością*).

Jeszcze słówko JW. Panie — Alboż ta szkoła, (*wskazuje na drzwi z napisem*) co to JW. Pan chce, żeby z niej wychodzili poprawieni młodzi winowajcy. — Dawniej jej nie było, a dom ten przecież oddawności, był Domem *Karry i Poprawy*. Uważa JW. Pan i *poprawy*? A to się ma znaczyć, że tylko karać, karać ich dobrze, to i poprawa nastąpi. Z niemi inaczej nie można, niech mi JW. Pan wierzy, człowiek przecież osiwał na tym chlebie!

DYREKTOR.

Nie przeszkadzaj mi już WéPan, nie mam czasu w téj chwili słuchać tak sprawiedliwych uwag. (*Zaczyna przeglądać z wielką pilnością zeszyt zdań o uczniach*).

NADZORCA (*odsuwa się ruszając ramionami*).

Wiedziałem że to będzie groch rła ścianę! Ale mówiło się żeby sobie człowiek nie miał co do wyrzucenia!

DYREKTOR (*do siebie w miarę jak przegląda papiery*).

Marcin widzę zawsze krnąbrny, nieugięty! Trzeba go będzie skazać na próżnowanie i samotność. Ten sposób zawsze mi się udaje. (*czyta*) „Paweł powolny, uważny, okazujący żal i skfuchę,” (*mówi zupodobaniem*). Mam nadzieję, że z tego chłopca będzie jeszcze co dobrego. Jaka słodka pociecha i nagroda dla mnie! (*czyta*) „Kacper Owczarek — Postępowanie jego zawsze przykładne, wzorowe. Pojęcie nadzwyczajne, pilność pracowitość wielka, lecz ciągle smutek jego zdaje się coraz zwiększać.” (*mówi*) Ach ten Kacper zawsze niezmiernie mię zajmuje. Coś w nim jest niepospolitego! Nieraz patrząc na niego i uważając pilnie poczciwość wyrytą na jego twarzy nie mogę wierzyć aby był zлочyńcą (*do Nadzorcy*). Więc Kacper zawsze powolny, posłuszny?

NADZORCA (*przystępując*).

Co o tym, to ani słowa inaczej! Jak Baranek! Tamtych nie raz przyjdzie zburezyć, złać, nastraszyć karą aby do porządku lub spokoju przyprowadzić, bo to JW. Panie wilcza natura ciągnie do lasu. Ale co Kacper to jak usiądzie nad robotą albo nad książką, to i oczów nie podniesie i jakby niesłyszał halasu i krzyku co nieraz w koło niego kolledzy wyrabiają, tylko czasem przemówi do nich aby ich nauczyć lub napomnąć.

DYREKTOR.

A ten staruszek o którym wspominales mi dawniej, iż przychodził czasami odwiedzać go, czy i teraz, tu bywa?

NADZORCA.

A byli właśnie wczoraj w czasie roboty więźniów w ogrodzie XX. Franciszkanów. Przyszedł i przyprowadził z sobą jakąś młodą dziewczynę, prosząc aby oboje mogli pomówić z Kacprem. Zaprowadziłem ich do ogrodu. Kacper właśnie nachylony zasiewał grędy, niewiedział żeśmy weszli, a żeśmy tuż przynim stanęli. Krzyknąłem na niego, podniósł się, wyciągnął do nich ręce, dziewczyna załżała się łzami, bo to JW. Panie płacz u kobiety to nic nie znaczy. On też zaslonił sobie oczy rękami.

DYREKTOR (z *tkliwą ciekawością*).

O czymże mówili? musiałeś słyszeć, wszak nie wolno obcym osobom mówić z uczniami tej szkoły tylko w obecności WćPana, lub którego z dozorców.

NADZORCA.

Cóż że słyszałem, kiedy to ich rozmowy do niczego ni przypiąć ni przylatać. Na samprzód dziewczyna zawołała (*udając głos kobiety*). To nie ty! mój Kacprze, dla mojej pociechy, przedemną jedną wyznaj, że to nie ty, (*swoim głosem*). Proszę JW. Pana co ona chciała? Zeby jej Kacper nie był Kacprem? cóż tu można rozumieć?

DYREKTOR (z *namysłem*).

Jakto! mówiła do niego to nie ty.... nie ty?

NADZORCA (*śmiejąc się*).

A tak JW. Panie, jakaś szalona czy co takiego!

DYREKTOR.

Cóż więcéj mówili z sobą?

NADZORCA.

On jej zaraz przerwał mowę i rzekł: myśl jak chcesz jak ci serce twoje mówie. — No i proszesz co tu z tego skleić! Ten znowu chciał żeby serce zagadało! A jużćić

człowiek różne cuda i dziwy widział, a jeszcze nie słyszał nigdy żeby zaś serce miało gadać!

DYREKTOR.

Wierzę, żeś téj mowy nigdy niesłyszał. Ale na czymże się skończyła ich rozmowa?

NADZORCA.

Potém przecie zrozumiale gadali, ona mówiła że go będzie często odwiedzać, on tego niechciał, ale owszem prosił ją i jej ojca, aby o nim zapomnieli i cierpień jego niepowiększali.

DYREKTOR.

To szczególna!.... Mam podejrzenie, przeczucie, że on nie jest winnym, że przynajmniej są okoliczności które winę jego zmniejszają.

NADZORCA.

A jużcić on tu daremnie się nie dostał. Rzecz wiadoma i pewna, że trzy razy podpalał folwarki swego pana.

DYREKTOR (*zasmucony*).

Tak..... czytałem cały wywód słowny jego sprawy. Tak młody i na całe życie do więzienia skazany....

NADZORCA.

Alboż mu tu źle teraz! On sam pewnie woli nad książką lub przy warsztacie siedzieć jak włuczyć się po polu za owcami.

DYREKTOR (*nieśluchając go zajęty swoją myślą*).

O gdyby można!... Ale daremne życzenie serca mego. (*do Nadzorcy*). Idę teraz obejrzeć sale, i warsztaty w drugim budynku, powrócę gdy uczniowie będą zebrani. Chodź WéPan za mną, zabierz papiery, (*wychodząc obadwa dużemi drzwiami*).

S C E N A II.

Z przeciwnéj strony wchodzi dwónastu młodych więźniów okutych, za nimi Dozorca.

DOZORCA.

Na miejsca! do roboty!

(Niektórzy zasiadają natychmiast przy stole i zabierają się do roboty, inni na boku po cichu rozmawiają z sobą).

DOZORCA.

Cóż tam macie za konszachty? Tu cicho mówić nie wolno. Do roboty i sza!

MARCIN *(do siebie)*.

Do roboty! do roboty! Dobrze mu wolać kiedy sam próżnuje.

DOZORCA *(zasiada przy drugim stole)*.

Od samego rana włóczyć się za temi wisusami, to i nóg nie starczy. No! robić tam robić a pilnie i dobrze. Nie długo nauczyciel nadéjdzie to mię przecie uwolni od czuwania nad tą hołotą. *(spiera się na stole i po chwili zasypia)*.

MARCIN.

Ot jak czuwa! spracował się nieborak!

ANTONI

Zeby nie te łańcuchy przekłète, tobym mu ślicznie wyciągnął z kieszeni fajkę i tytuń, a zdałyby mi się zdały! Ale cóż, obudzi się jak stąpię.

MARCIN.

Ja bym wolał łeb mu do stołu przykuć.

PAWEŁ.

Cóżby wam obydwom z tego przyszło? U Marcina wnetby znaleźli skradziony tytuń i fajkę, a Antoni nie polepszyłby

swego losu, choćby Dozorcę życia pozbawił. Oba przyczynilibyście sobie po jednym występku więcej i zasłużylibyście na surowsze kary.

PIOTR.

Patrzajcie, jak się wyedukował. Morały nam prawi. To już Kacper przez niego przemawia. Udawajcie wy sobie poprawionych, my chwackie chłopaki trzymamy się w kupie, byle nam tylko nasze lata wykawęczyć ho, ho! nie wpadniemy już do téj półapki.

KACPER.

Zapewne, że byleście chcieli, to raz z tąd wyszedłszy, będziecie mogli inny zupełnie sposób życia obrać jak przedtém.

MARCIN.

Może szewcem, ogrodnikiem, albo tkaczem zostanę! Zabawny sposób do życia! Ot żeby nas byli nie brali do téj djabelskiej szkoły; a zostawili jak dotąd bywało razem z starszemi braćmi, co to już zęby zjedli na łatwym chlebie, to byśmy się do téj pory nie mało od nich nauczyli, prawdziwie dobrych sposobów! A tak, zapomni się co się już trochę umiało, tu się nic nienauczy i koniec na tym.

PAWEŁ.

Ucz się tylko a będziesz umiał, nas już kilku nie źle czyta i pisze, a Kacper tak gładko jakby sam Nauczyciel umie, i dobrze nam z tym na teraz i na potem.

KACPER.

Niech Bóg wszystko dobre zsyla na tego Pana co tu szkołę zaprowadził!

MARCIN.

Może i za to mamy mu dziękować, że nas tu tak zamknął, że teraz ani wyruszymy z tych szatańskich murów. Dawniej to przynajmniej wyszło się do robót publicznych,

do rąbania drzewa, nie tu, to tam udało się coś sehwytać, można też było pomyśleć i o ucieczce, a teraz ani rusz! Bodajgo z jego odmianami!

KACPER.

A mnie się zdaje, że zato właśnie może najwięcej powinniśmy być mu wdzięczni! Wy szczególnie co nie na całe życie jesteście skazani do więzienia, czy nie lepiej dla was gdy z tąd wyjdziecie, że nikt nie powie, nie przypomni wam że was widział w kajdanach.

ANTONI.

To mi mądry! Kto tam o takim bzdurstwie myśli! Alboż to my pierwsi i ostatni tutaj? Czego się tu wstydzić!

MARCIN.

Zapewne! Ot wstydzimy się raczej tego, że na próżnej gadaninie czas marnujemy (*pokazując na Dozorcę*), kiedy ten tak pilnie czuwa nad nami. Lepiej sobie tymczasem przypominajmy co się to za sztuki płać za czasów świętej wolności naszej. Zaczynaj ty Antoni, bo Kacpra historia nie ciekawa. Podpalać! wielka sztuka! każdy to potrafi, (*uderzając Antoniego po plecach*), ale ty tegi chłopak przedziwne rzeczy opowiadasz.

PAWEŁ.

My niechemy tego słuchać.

GRZEGORZ.

Ja bym rad sam zapomnieć już o tém wszystkim com złego robił i umiał.

PIOTR.

Jaki mi poczciwy! A to niedawno takiś się odmienił braciszku, bo przed rokiem nim te obrzydłe książki, warsztaty, nauki i różne odmiany nastaly, toś rybko tak dobrze jak i my rozprawiał o swoich sprawkach!

S C E N A III.

CIŻ SAMI, DYREKTOR.

(Na przybycie Dyrektora wstają wszyscy, szcęk łańcuchów przebudza Dozorcę który raptem się podnosi, nie wie z razu gdzie jest, a ujrzawszy Dyrektora odskakuje od stolika i z miną pokorną staje na boku).

DYREKTOR *(dając ręką znak aby uczniowie usiedli).*

Nie przerywam waszój pracy, jakże idzie robota i nauka?

(Kilku niewyraźne wydaje mruknienie, Kacper z czułością patrzy na Dyrektora).

PAWEŁ.

Niewiemy co o nas nasi przełożeni powiedzą, my staramy się ich słuchać i korzystać z ich pracy.

DYREKTOR.

Nie wszyscy jednak *(grożąc)* są tu tacy z których wcale nie jestem kontent, i względem nich dałem już surowe rozporządzenia, które ściśle wykonane będą. Ale są niektórzy którym miło mi powiedzieć, że w nich pociesającą odmianę upatruję. Naprzykład Grzegorz i Paweł mają od wszystkich dobre świadectwa. Poznaliście już, że tylko waszego dobra pragniemy, nie popsujcież się, a możecie jeszcze szczęśliwemi i użytecznemi ludźmi być na świecie. *(do Kacpra)* a ty mój Kacprze, nie pozyskałem jeszcze twój ufności? Już rok blisko jak cię poznałem i sam ci przyznaję we wszystkim dobre i chwalebne postępowanie. Czemuż niechcesz opowiedzieć mi wszelkich szczegółów które cię do winy przywiiodły. Już po kilka razy na próżno się tego od ciebie domagałem. Mam dziś większe jeszcze niżli kiedy do tego powody. Otwórz twe serce przedemną. Czyż nie widzisz, we mnie życzliwego, prawdziwego twego przyjaciela?

KACPER (z *uniesieniem*).

O dobroczyńcę, opiekuna nas wszystkich w tobie Pa-
nie uznajemy!

DYREKTOR.

Jeżeli więc zdołałem w czemkolwiek przyczynić się do
waszego dobra, czemuż to cię nie pobudza do złożenia
całkowitej we mnie ufności. Oto powiem ci prawdę iż
mocne mam powody do mniemania, że nie wszystko przed
sądem wyznałeś. Muszą być jakieś okoliczności, szczegóły
tyczące się twego oskarżenia o podpalanie któreś utaił.
Wyznaj je przedemną. Jesteś skazany na całe życie do wię-
zienia, zastanów się, może będzie można karę twoję zmniej-
szyć.

KACPER.

Już Panu wiadome jest moje przestępstwo, nic niemam
dodać do tego, co Pan czytać musiał w opisie mojej sprawy.

PAWEŁ.

Ja powiem co on tai.

KACPER (z *żywością*).

Niech mu Pan nie wierzy, on nic nie wie, ja sam nic in-
nego powiedzieć nie mogę tylko że jestem winny.

DYREKTOR.

Poczekaj, nieprzeszkadzaj, wolno ci będzie potem jemu
zaprzeczyć, mów Pawle, słucham cię.

PAWEŁ.

Oto on prawie co noc niezmiernie płacze, niech powie-
dzą kolledzy jak się gniewają, że im często spać nie daje
wzdychając i lamentując. Otóż....

KACPER (*przerywając*).

Cóż dziwnego, że przyszedł czas żalu i skruchy na win-
nego. Wszak i ty sam Pawle mocno i szczerze teraz za-
łujesz swoich przewinień.

DYREKTOR.

Nie przerywaj! mów dalej Pawle.

PAWEŁ.

Otóż wczoraj od téj pory, jak tu przychodził do niego jeden staruszek z swoją córką, smutniejszym był jeszcze jak zazwyczaj, a w nocy tak szlochał jak dziecko, chłodził po sali, oka niezmógł. Ja także usnąć nie mogłem bo mi go żal było, i usłyszałem jak załamując ręce zawołał. „To już nad siły moje, pójdę, wyznam wszystko! wydam prawdziwego winowajcę.” Potém uderzył się w czoło, stał chwilę zadumany, ukląkł w reszcie, i długo się modlił. Zawołałem na niego gdy skończył, prosiłem by mi wytłómaczył co znaczą wymówione przez niego słowa? wyparł się ich jak i teraz czyni, ale ja dobrze słyszałem i prawdę mówię niech mi Pan wierzy.

KACPER.

Mógłem w żalu, w spomieniu dawnéj niewinności i szczęścia coś bez związku, bez znaczenia powiedzieć, czego sam nawet nie pamiętam.

DYREKTOR (*po krótkim zamyśleniu się*).

Widzę że na próżnoby już nalegał na ciebie. Ale powiedz mi, kto jest ten staruszek z córką którzy cię wczoraj odwiedzali?

KACPER.

Jest to Karbowy z téj saméj wsi z której ja jestem. (*ciszej*) Z jego córką miałem się żenić.

DYREKTOR.

Czy zostają jeszcze na dawném miejscu, i czy tylko tu na krótko przybyli?

KACPER.

Nie, w krótce po mojem uwięzieniu opuścili wieś naszą, dwa lata w różnych stronach przebywali, nakoniec córka

uprosiła ojca, że się przeniósł do Warszawy i od dni kilkunastu tu się znajdują.

DYREKTOR.

Cóż tu robią. Z czego się utrzymują?

KACPER.

Z pracy rąk córki żyją oboje. Ona szyje i pierze bardzo dobrze.

DYREKTOR.

Gdzież mieszkają? Na której ulicy?

KACPER.

Tu nie daleko, koło Zdrojów.

DYREKTOR.

Nie wiesz numeru?

KACPER.

Owszem wiem 1752. Pan tak miłosierny litościwy, zapewne jej nastreczy robotę. Powiadał mi też jej ojciec, że nie zawsze ma jej dosyć.

DYREKTOR (*notuje sobie w pugiliariesie i odpowiada z roz-targnieniem*).

Tak, tak.

SCENA IV.

CIŻ SAMI NAUCZYCIEL.

NAUCZYCIEL (*klaniając się nisko Dyrektorowi*).

Czy JW. Pan raczy być przytomnym dzisiejszym lekcjom? Przychodzę po uczniów, jest to właśnie pora naszej nauki.

DYREKTOR.

Nie, dziś nie mam czasu (*do uczniów*). Możecie odejść do szkoły.

(*Młodzi więźnie składają robotę i odchodzą do szkoły wraz z Nauczycielem*).

S C E N A V.

DYREKTOR i DOZORCA (*który od przybycia Dyrektora stał u drzwi*).

DYREKTOR (*odcinając kartkę z pugiliaresu*).

Idź mi natychmiast do domu tu wyrażonego, mieszka tam staruszek z córką która jest praczką, proś aby tu zaraz przyszli oboje. Czekam na nich.

(*Dozorca wychodzi*).

S C E N A VI.

DYREKTOR (*sam*).

Może się dowiem od nich jakich szczegółów zaspakajających moje troskliwość. Chłopiec ten duszę moję coraz żywiej zajmuje! Nie mam serca z tąd się oddalić póki domysły moje nie zostaną poparte, lub zupełnie zniszczone. Wypadek téj nocy przez jego kolegę odkryty....

S C E N A VII.

DYREKTOR, ODDZWIERNY.

ODDZWIERNY (*wbiegając raptém, roztwiera drzwi wchodowe i mówi głosem oznajmującym*).

JW. Sędzia Kryminalny! (*odchodzi*).

S C E N A VIII.

DYREKTOR, SĘDZIA KRYMINALNY, NIEWOSAD, i DWÓCH ŻANDARMÓW (*którzy zostają przy drzwiach*).

SĘDZIA.

Przychodzę tu w nader ważnym przedmiocie. Rad jestem że WćPana Dobr. tu znajduję, będziesz świadkiem wypadku który szlachetna dusza jego potrafi ocenić. Idzie tu o wykrycie nie tylko niewinności, ale cnoty jednego z młodych więźniów téj szkoły.

DYREKTOR (*z żywością*).

Kacpra Owczarka?

SEDZIA.

Tego samego. Czy wiadome już Panu jego poświęcenie się?

DYREKTOR.

Nie, lecz serce moje odgadło jego niewinność i byłem prawie pewny, że jest jakaś szlachetna tajemnica w jego przewinieniu.

SEDZIA.

W samą rzecz młodzieniec ten okazał znakomitą wyzłość i moc charakteru. Ale pozwól WéPan Dobr., że go tu przywołamy, w obecności jego samego całą rzecz wyjaśnię (*wskazując na Niewosada*). Oto jest posłaniec tej wiadomości, dobry znajomy Kacpra.

DYREKTOR (*biegnie z radością ku szkole.*)

Kacper, Kacper, przychodzi tutaj.

SCENA IX.

CIEŻ SAMI I KACPER.

KACPER (*wchodzi powolnym krokiem, zatrzymuje się nagłe postrzegłszy Niewosada, ten biegnie ku niemu i bierze go w swoje objęcie*).

NIEWOSAD.

Kacper! poczciwy Kacper! dwa lata niezasłużonego więzienia !.....

KACPER (*spozierając na wszystkich*).

Co się to ma znaczyć? Co się stało?

SEDZIA.

Z prawdziwą rozkoszą przychodzi mi teraz ogłosić wyrok zupełnie przeciwny temu, który przed dwoma laty usta moje wyrzec musiały. (*biorąc go za rękę*). Wyrzuciłbym sobie każdą chwilę opóźnienia i dlatego najspieszniej tu

przybyłem sam ci oznajmić, iż niewinność twoja już uznana, odkrył się prawdziwy winowajca.

KACPER (z przestracchem).

Co slysze!.... Nie.... to musi być pomyłka, ja, nie kto inny.....

SEDZIA (przerywając).

Uspokój się zacny młodzieńcze, poświęcenie się twoje nie było daremne, posłuchaj tego pisma które mi przywiózł Niewosad twój niegdyś sąsiad (*rozkładając arku-szowe pismo*). Oto jest urzędowy opis całego wypadku, przez miejscowego proboszcza podany, ze wszelkimi formalnościami prawnymi (*czyta*). „Przed kilku dniami wracając nad wieczorem do Probosztwa, zastałem pod wystawą domu mego, zgrzybiałego i chorego nędzarza. Uważając, że nie dość będzie opatrzyć go jałmużną, zapytałem z kąd idzie i czyli nie przyjałby przytulku w domu moim, póki nie przyjdzie do sił i zdrowia? Odpowiedział mi, że z dalekich stron powraca, że ta wieś była niegdyś jego rodziną, i że powrócił do niej, aby tu głowę położyć. Wpatrując się w niego pilnie zdało mi się, że go kiedyś znałem. On postrzegłszy to, rzucił mi się do nóg i zapytał: Czy Dobrodziej nie poznaje Klosa, niegdyś tutajszego gospodarza? Niemam się teraz gdzie przytulić. Niewiem co się stało z moim siostrzeńcem Kacprem? Jak to niewiesz odrzekłem, wszak podobno jeszcze przy tobie wzięty był do więzienia i dotąd tam zostaje. — Kacper do więzienia, zawołał, to być nie może! Cóż zrobił takiego? Było podejrzenie na niego odpowiedziałem, że podpalił folwark pański. Przypominam sobie właśnie, że niektórzy rzucali toż podejrzenie na ciebie Klosie, i już mieli wysyłać za tobą w pogoń do Częstochowój, gdzie powiadano żeś poszedł tego samego rana gdy się wszczął pożar; ale Kacper przyznał się do winy, a oskarżony i o dwa pierwsze pożary, został skazany na całe życie do więzienia. — Na te słowa Klos jakby piorunem rażony osłabł zupełnie. Kazałem go

zanieść do czeladniej izby. Przyszedł do siebie lecz tak był słaby, że słowa przemówić nie mógł, przebywszy noc w mocnej gorączce, nazajutrz rano prosił o pomoc religijną, poczem uczynił w przytomności mojej i wójta gminy przerywanym głosem następujące wyznanie." „Ja Franciszek Kłos niegdyś tutaj gospodarz, przez zemstę nad naszym Dziedzicem, podpalałem trzy razy włości jego. Popelnivszy ostatnią zbrodnią, uszedłem do Częstochowej, z tamąd do Prus gdzie dotąd przebywałem. Wyznaję że gdybym był z pieniędzmi danymi za grónt i chałupę moje wziął się do pracy, byłbym pozostał uczciwym i zamożnym gospodarzem, niezmazałbym się był zbrodnią i niewinny Kacper, niestraciłby swęj wolności za mnie. Lecz lenistwo i zemsta ogarnęły me serce, a Bóg sprawiedliwy tu już mnie ukarał, dopuszczając na mnie okropną nędzę, cierpienie i śmierć ze zgryzoty sumienia. Oby w przyszłym życiu przebaczyć mi raczył.— Upraszam Xiędza Proboszcza, aby występek mój i wyznanie z Ambony ogłosił."

„W parę godzin po tém wyznaniu żyć przestał."

KACPER (*stuchał ciągle z spuszczoną głową na piersiach, w końcu rzewnie zaczął płakać i wśród łkania wymawia wznosząc ręce i oczy do góry*).

Boże sprawiedliwy!

DYREKTOR (*rozzewniony ściskając go za rękę*).

Serce moje umiało cię od razu ocenić.

SĘDZIA.

Z urzędu mego mam prawo natychmiast uwolnić cię od kajdan. (*do Żandarmów*) Zdjąć jego okowy. (*Odchodzę aby przyspieszyć formalne uniewinienie twoje*).

KACPER (*pod czas gdy mu zdejmują kajdany*).

Przyjmij Panie moje dzięki! Niezapomnę nigdy jego ludzkiego serca.

(*Sędzia odchodzi ściskawszy Kacpra za rękę. Żandarmy wychodzą za nim*).

S C E N A IX.

DYREKTOR, KACPER, NIEWOSAD.

KACPER (*biegnie do Niewósada*).

Jakże mi miło żeście wy byli posłańcami mojego uwolnienia.

NIEWOSAD.

Ja bym też dozwolił komu innemu z tym pojechać! Chyba Michasiowi bym tego odstąpił, ale chłopak jeszcze za mały na taką drogę. Jak tylko usłyszałem z Ambony żeś niewinny, pobiegłem z prośbą aby mnie wysłano do Warszawy z tą wiadomością, i jakim siadł na mego najlepszego szlapaka, to aż przed mieszkaniem Pana Sędziego zsiadłem z niego!

S C E N A X.

CIEŻ SAMI, NADZORCA, (*za nim*) KARBOWY i BASIA.

NADZORCA.

Otóż znowu przychodzi tu ten staruszek z swoją córką i powiadają że JW. Pan ich wzywał.

KACPER (*chwytając Basię za rękę*).

Basiu! dziękujmy Bogu wolny jestem!

BASIA.

Czy być może! Czy mogę szczęściu memu wierzyć!

DYREKTOR (*do Karbowego i do Basi*).

Wzywając was tutaj niespodziewałem się, że na tak szczęśliwą chwilę traficie. Chciałem tylko wypytać się was dokładnie o Kacpra, który mi się od dawna zdawał niepodobnym do winowajcy. Sprawiedliwa Opatrzność która prędzej czy później występki wykrywa, uprzedziła w tej mierze moje chęci, wszystko się już wydało. On jest niewinny.

KARBOWY i BASIA.

O! my tego zawsze byliśmy pewni!

NIEWOSAD (*do nich*).

To ja z tą wiadomością tu przybyłem.

KARBOWY (*witając się z nim*).—

Nie dostrzegłem was zrazu dobrego sąsiedzie.

(*Basia i Kacper sobą zajęci*).

NADZORCA (*zbliżając się do Dyrektora*).

Pozwoli JW. Pan zapytać, co się to wszystko znaczy? Czy to znówu jakie nowe zaprowadzenie JW. Pana? Węźnie może bez kajdan już chodzić będą? O zgroza!

DYREKTOR.

Uspokój się, jeszcze ta zgroza nie prędko będzie u nas zaprowadzona.

NADZORCA (*bierze się za głowę obiema rękami i sam do siebie mówi usuwając się na bok*).

To on widzę i otém na kiedyś zamyśla. O co w tedy to już nie będą tu Nadzorcą! Człowiek by nie wytrzymał!

DYREKTOR (*do Kacpra i do Basi*).

Pozwolicie, że ja się zajmę waszém weselem. A jeżeli Kacper niema inego zamiaru względem dalszego sposobu do życia, radbym abyś się wydoskonalił w ogrodnictwie. Moim kosztem oddam cię na naukę do tutejszego ogrodu Botanicznego, i póki z tamtąd usposobiony nie wyjdiesz, będę dla was obojga i dla starego ojca waszego najmował mieszkanie w Aleach. Czy zgadzacie się na to?

KACPER (*trzymając jedną ręką Basię, drugą jej ojca*).

Ach Panie obarczasz nas łaską swoją! Ale to nie pierwsze dobrodziejstwo twoje dla mnie. Wszedłem tu niewinny wprawdzie, lecz dzięki tobie, wychodzę lepszy bo oświeceniwszy.

KONIEC.

DLA szczegółów jakie do mojej sztuczki były mi potrzebne, udałam się do Hr. Skarbka z prośbą (niewyjawiając przyczyny) aby objaśnić raczył niekóre pytania moje względem *Szkoły dla młodych winowajców*. Rozumiem, że nie będzie obojętnym dla moich czytelników list jego, opisujący początkowy wzrost tego dobroczynnego zakładu. Przytaczam go dosłownie:

„Odpowiadając na wezwanie Pani, mam zaszczyt wyznać najprzód, iż to com dotychczas dla ulepszenia stanu więzień naszych uczynił, bardzo mało jeszcze znaczy, więcej jest we wszystkiem chęci jak skutku, lecz tuszę sobie, że kiedyś przy wytrwałości i pracy, do pożądanego celu trafię. Odebranie Nadzorcom dostawy żywności dla więźni, uczynione przygotowania do zaprowadzenia fabryk sukna i płótna po niektórych więzieniach, tudzież ustanowienie dwóch Szkółek dla małoletnich w Warszawie i w Lublinie, oto są główne odmiany dotąd zaprowadzone. Co się tyczy Szkółki tutejszej o której Pani najwięcej szczegółów mieć pragniesz, odpowiadam kolejno na pytania sobie w tej mierze uczynione. Szkółka ta na dwunastu chłopców urządzona, zupełnie jest oddzielona od reszty więzienia, i umieszczona w dwóch izbach tylniej oficyny. Chłopcy śpią na wiszących łózkach które się na dzień pod pułap podciągają, aby w tej samej izbie mogli pobierać nauki; na drzwiach izby, jest tablica z napisem *Szkola*. Zaden z młodych winowajców w Szkole umieszczonych, nie tylko do robót publicznych, ale do żadnych wewnętrznych robót wespół z innemi więźniami nie jest używany; wszyscy

zajęci są całe rano naukami, które się zaczynają od lekcji religij i zależą dalej na czytaniu, pisaniu i rachunkach. Po południu zajęci są robotami ogrodniczymi w ogrodzie XX. Franciszkanów póki pora służy, a w zimie szewstwem. Wszyscy skazani młodzi winowajcy są okuci, bo surowość naszego Kodexu Karnego żadnego nie przypuszcza wyjątku. Stósownie do przepisów prawa, trzeba pozwolenia sądu na to, aby znajomi lub krewni nawiedzali więźniów; rozmowy z nimi tylko w obecności Dozorca więziennego odbywać się mogą. Młodzi więźniowie są pod ciągłym dozorem i nigdy sami nie zostają w izbie. Nabożeństwa słuchają z innemi więźniami w Kaplicy więziennnej. Nauki zaś religijne odbierają codziennie w szkole. Ten początkowy zakład dalekim jest od tego czem być powinien, lecz ten przynajmniej dobry wydaje skutek, że młodzi winowajcy są ściśle odłączeni od starszych, od których dotąd nauki zgrozby pobierali, tak dalece, iż pierwsi którzy byli przeniesieni do szkoły, umieli wszyscy język złodziejski i znali dokładnie przepisy Kodexu tyczące się ich przewinienia, jako i środki obrony własnej. Gdyby kto chciał ten mały zakład nawiedzić, z największą chęcią służyć będę za przewodnika. Lubo nie wiem dla kogo i do jakiego użytku wiadomości te Pani są potrzebne, rad jestem, że choć tak lichemi przysłużyć się mogą, i cieszy mię to mocno że kogokolwiek rzecz ta zajmuje.

Proszę przyjąć wyraz.....

Warszawa d. 13 Lutego 1830 r.

(podpisano) FRYDERYK HR. SKARBK.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-83



Handwritten red text, possibly a library or collection stamp, located in the upper right corner of the page.



